

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 27

Katowice, dnia 1-go lipca

1928

Niedziela piąta po Zielonych Świątkach.

LEKCJA

z listu św. Piotra Apostoła, rozdział III., w 8—15.

Najmilsi! Wszyscy jednomyślnie w modlitwie trwajcie współcierpiący, braterstwa miłośnicy, miłośni, skromni, pokorni, nie oddawając złego za złe, ani złorzeczenia za złorzeczenie; lecz przeciwnym obyczajem błogosławiać; gdyż na to jesteście wezwani, abyście błogosławieństwo dziedzictwem posiadli. Albowiem kto chce żywot miłować i oglądać dni dobre, niech pohamuje język swój od złego, i usta jego niech nie mówią zdrady. Niech się oddala od złego, a niech czyni dobre; niech poszuka pokoju, a niechaj go ściga. Albowiem oczy Pańskie nad sprawiedliwymi, a uszy jego ku prośbie ich; lecz twarz Pańska na działające złości. I któż jest, ktoby wam szkodził, jeśli dobrego naśladowcami będziecie? Ale i choć co cierpicie dla sprawiedliwości, błogosławieni. A strachu ich nie strachajcie się, ani się trwożcie. Lecz Pana Chrystusa święćcie w sercach waszych.

EWANGELJA

u św. Mateusza, rozdział V., w. 20—24.

W on czas: Mówił Jezus uczniom Swoim: Jeśli sprawiedliwość wasza nie będzie większa, niż uczonych i faryzeuszów, nie wnikniecie do Królestwa Niebieskiego. Słyszeliście, iż powiedziano w Starym Zakonie: „Nie zabijaj; ktoby zaś zabił, tego czeka sąd”. A ja wam powiadam, że każdy, kto się gniewa na brata swego, tego czeka sąd; ktoby zaś rzekł bratu swemu „zakało”, tego czeka Najwyższy Trybunał; a ktoby rzekł: „bezbożniku”, tego czeka piekło ogniste. Jeśli zatem przyniesiesz ofiarę swą do ołtarza, a tam przypominasz sobie, że brat twój ma coś przeciwko tobie, zostaw tam przed ołtarzem ofiarę swą, a idź, pojednaj się wpiery z bratem swoim, a wtedy, wróciwszy się, złożysz ofiarę swoją.

Na dzień Nawiedzenia Najśw. Marii Panny.

LEKCJA

z listu Księgi Madrości, rozdział II., w. 8—14.

Oto ten idzie skacząc po górach, przeskakując pagórki. Podobny jest miły mój sarnie i jelonkowi. Oto ten stoi za ścianą naszą, poglądając przez okna, patrząc przez kraty. Oto miły mój mówi do mnie: Wstań! a śpiesz się, przyjaciółko moja, gołębiczo moja, piękna moja, przyjdź. Bo już zima minęła, deszcz przeszedł i przestał. Kwiatki się ukazały po ziemi naszej; przyszedł czas winnic obcinania, głos synogarlicy słyszany jest w ziemi naszej; figa wypuściła niedojrzałe figi; winnice kwitnące wydały wonność swoją. Wstań, przyjaciółko moja, piękna moja, a przyjdź! Gołębiczo moja w rozpadlinach skalnych, w dziurach parkanu, ukaż mi oblicze

twoje, niech zabrzmi głos twój w uszach moich! albowiem głos twój wdzięczny, a oblicze twoje piękne.

EWANGELJA

u św. Łukasza, rozdział I., w. 39—47.

W on czas: Wybrała się Marja z pośpiechem w podróż, w górzystą okolicę, do miasta Judy, i weszła do domu Zachariasza, i pozdrowiła Elżbietę. A gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Marji, poruszyło się dzieciątko w jej łonie. I napełniona jest Elżbieta Duchem Świętym, i zawołała głosem wielkim, mówiąc: Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławion owoc żywota Twego! A skądże mi to, że Matka Pana mego przyszła do mnie? Bo oto zaledwie głos pozdrowienia twego zabrzmiał w uszach moich, poruszyło się z radością dzieciątko w mem łonie. Zaiste błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła, że spełni się, co Ci powiedziano od Pana! Marja zaś rzekła:

Uwielbia Pana dusza ma, i w Bogu, mym Zbawicieli, duch mój się raduje.

NAUKA.

Tyle za dni naszych zachodzących, już to skrycie, już jawnie, nieraz nawet z okrucieństwem spełnianych zabójstw, o których się z różnych gazet dowiadujemy, budzi w nas to przekonanie, że albo ludzie dni naszych zapomnieli już całkiem o przykazaniu Boskiem: nie zabijaj!... albo też, że nie sobie z niego nie robią, że nie poczytują go za obowiązujące siebie, ale co najwięcej dawno już pomarliych przodków naszych.

Jak zaś współcześni ludzie nasi mało sobie cenią życie bliźniego, tak też lekceważą sobie własne życie i pozbawiają go się, ściągając na samych siebie zbrodniczą swoją rękę. Bardzo wielu odbiera sobie życie z wszelką obojętnością i z najzimniejszą krwią, a pomiędzy tymi samobójcami można napotkać ludzi młodych i starych, mężów i niewiasty, prostaczków i mędrców, ubogich i bogatych. Smutne te i zatrważające wypadki samobójstw obrzydliwem są piętnem czasu naszego i niemylnym zarazem objawem chorobliwego stanu duszy, zepsucia i straszliwego upadku ludzkiego.

Zastanawiając się przeto nad dzisiejszą ewangelją św., która dotyka piętego przykazania Boskiego i w zabójstwie nową nam okazuje przeszkodę, nie pozwalającą nam wznieść się do szczytu chrześcijańskiej doskonałości, t. j. do umiłowania Pana z całego serca, z całej duszy naszej, ze wszystkich sił naszych, a bliźniego naszego jak siebie samego, zapytać się musimy, co jest właściwie przyczyną tych tak często za dni naszych ponawiających się samobójstw?

Oto Najmilsi! nie tyle obląkanie umysłu, ile po prostu brak wiary.

Słyszeliśmy, że ktoś, lubo w oczach świata za porządnego uchodził człowieka i powszechnie był szanowanym, skrycie wielkim był zbrodniarzem i

że potem, gdy się o tych jego niegodziwościach dowiedziało, życie sobie odebrał.

Inni znów dopuszczają się samobójstwa, spędziwszy życie swoje na samej rozpuszczce, swawoli, rozwiozłości, na samych grach, zabawach i pohulankach. Przesycili się już rozkoszami i zbytkami świata tego, uprzykrzyli sobie życie swoje i dla tego powzięli piekielną myśl wydarcia go sobie. Z początku myśl ta przesunęła im się tylko przez głowę, potem tem bardziej ich zajmowała, aż nareszcie opanowała ich całkiem, tak, iż niestety w okropny ją czyn zamienili. Bywały przypadki, iż ludzie młodzi, którzy siły zdrowia i życia swojego stargali na nierządzie, wśród szalu zmysłowych swoich uciech i rozkoszy, życie sobie odebrali. I cóż jest powodem tego? Ludzie mówią, że przyczyną tego jest niepowściągliwość i wyuzdanie, które w końcu zupełnym wstętem przejmuje człowieka do życia; lecz czy to wielu innych nie postępowało po tej samej, co oni drodze, a jednak do Boga się nawróciło? Skoro przeto ktoś grzeszne swoje życie przypieczętował samobójstwem, ten zaiste nie miał wiary; ten przestał już wierzyć w Boga, w żywot wieczny, w cnotę i występki i w odpowiednią do tego zapłatę wieczną; inaczej bowiem nie przenosiłby się do wieczności i przez samobójstwo nie skazywałby samego siebie na wieczne męki. Tak więc jedynie niedowiarstwo jego jest przyczyną samobójstwa.

Inni znów odbierają sobie życie, nie mogąc osiągnąć celu pychy swojej i wyniosłości, albo nie mając dosyć odwagi do cierpliwego zniesienia długiej i dolegliwej swojej choroby; albo też widząc się zawiedzionymi w swoich rachubach i próżnych nadziejach i uczuwając to zbyt tkliwie, że im się złe wiedzie. Wszystko to dręczy ich i niepokoi, zniecierpliwia do życia, napęcza zwątpieniem, rozpaczą i popycha ich do samobójstwa. Świat wypadek podobny tłumaczy sobie tem, że namiętność, smutek, znękanie przywiodły ludzi tych do tej okropnej ostateczności: lecz czy podobna, aby człowiek, który wierzy w żywot wieczny, pozagrobowy, który wierzy w dobroć i miłosierdzie Boga, który wierzy, że nie masz w ogóle na świecie nędzy i niedoli takiej, którejbyśmy w poglądzie na Opatrzność Boga nie mieli znieść cierpliwie, aby człowiek taki mógł tak dalece oddać się rozpaczom z powodu doznanych zawodów i poniesionych, czy słusznie, czy niesłusznie, klęsk i niepowodzeń swoich, iżby życie sobie odbierał? Czy podobna, aby człowiek taki mógł chcieć przez samobójstwo zwolnić się chociażby od największych ucisków i katuszy doczesnych, a więc zawsze przemijających i kończących się; a czynem swoim stracił się właśnie w odmet wiecznej niedoli i samego siebie podawał na wieczne potępienie? O! z pewnością nie, Najmilsi! i dla tego bądźcie przekonani, że samobójca dawno już wyrzucił się z wszelkich uczuć wiary, inaczej bowiem nie byłby się nigdy zbrodni tej dopuścił.

Wspomnijcie sobie zawsze na tę stanowczą chwilę strasliwej przeprawy z życia tego w ona wieczność, gdzie samobójce czeka sąd doraźny Boga. Cóż powiesz wtedy Najwyższemu Sędziemu, gdy zażąda od ciebie liczby z włodarstwa twojego? Nieszczęsny, gdzie znajdziesz tego sprawiedliwego, któryby ci powiedział, żeś już dosyć żył na świecie? Popatrz na niego i ucz się, jak to trzeba spędzać życie, aby nabrać prawa do przejścia z tego żywota do wieczności... Życie jest złem dla szczęśliwego niegodziwca, ale jest dobrem zawsze dla nieszczęśliwego sprawiedliwego, który umie się

zastosować do każdego położenia i z niego odnieść korzyści dla duszy swojej. Życie więc ludzkie to kwiat, z którego, podczas gdy pszczoła zbiera miód, pająk ssa truciznę. Czem jest chociażby najdłuższe życie doczesne dla nieśmiertelnej istoty? Lata nasze szybko płyną, jak potoki mkną, a w nich jako cień przemija i rozkosz i niedola i smutek i wesele. I krótkie to życie przemieniałoby ci daremnie, gdybyś nie odznaczył go jakąś zasługą i gdybyś przez nią nie miał umieć nadać mu wyższej wartości i znaczenia. Tylko dobre twoje uczynki pozostaną na wieki i pójdą za tobą poza grób twój do wieczności.

Samobójstwo, Najmilsi! to śmierć ohydna, sromotna; samobójca to podły zbieg z pod sztandaru ludzkości, to niecny złodziej, co okradł swoich bez sromu i potem uciekł z tego padółu pracy, wysługi i doświadczenia. Mogła jego dawniej na rozdrożu kamieni przywalona, albo suchymi gałęziami pokryta, dziś po za obrębem cmentarza, smutne we dnie budzi wspomnienie, a w nocy staje się powodem ludzkiego strachu i przerażenia. Dusza samobójcy, to dusza potępiénca stracona w bezdenną otchłań piekła!

O zachowajże, Panie, Jezu, każdego człowieka od samej nawet bezbożnej myśli strasliwego samobójstwa. Amen.

SAD BOŻY.

Na początku czerwca roku 1502 zbliżał się Kolumb z czterema małemi statkami do portu wyspy św. Dominika w Ameryce. Była to czwarta i ostatnia podróż, jakiej bohater się podjął do nowej części świata. Zgryzota, zmartwienie i nadludzkie wysiłki obrały postać tego wspaniałego męża prawie zupełnie z dawniejszego majestatu, lecz miasto złamać nieugiętą wolę jego, uczyniły ją jeszcze silniejszą. Z ócz sędziwego starca biła taka ufność i wiara w Boga i Jego pomoc, iż w każdym głęboki szacunek wzbudzały.

Zamyślony stał Kolumb na pokładzie i spoglądał na piękną wyspę, do której statki jego bieg swój skierowały. Przypominał sobie, gdy ostatni raz kraj ten opuszczać musiał — w kajdanach. Bobidila, — śmiertelny wróg jego, wrócił z zwolennikami swoimi z Hiszpanji, gdzie poprzednio słabego, chwiejnego i krótkowidzącego króla był okłamał i nakłonił do usunięcia Kolumba ze stanowiska namiestnika wyspy, św. Dominika. Słaby monarcha zamianował w miejsce wielkiego Kolumba namiestnikiem Bobidilę, aczkolwiek tenże wcale a wcale nie znał się ani na marynarstwie, ani na administracji. Za to tem lepiej umiał kłamać, oczerniać i bezsumiennie pieniądze i skarby zagrabiać.

Kolumba usunięto bez przyczyny, bez dowodów, li tylko na mocy posądzenia, oszczerstw i kłamstw Bobidili i jego zwolenników. Bobidila otrzymał ponadto od króla pewną ilość niezapisanych dokumentów, zaopatrzonych naprzód w podpis królewski. Tym sposobem Bobidila mógł wszelkie możliwe rozkazy, na dokumentach wypisywać i ogłaszać jako królewskie orędzie! Kolumb sobie teraz przypomina, jak szorstko i znieważająco Bobidila się z nim był obszedł, jakoby Kolumb był jego najniższym sługą! Przypomina sobie żywo, jak ten kłamca własnego króla swego oszukał, jego samego zdrajcą nazwał i w kajdany jak ostatniego zbrodniarza okuć kazał.

W obec tego Kolumb dłużej opanować się nie mogąc, podniósł rękę jakby do świętej przysięgi.

„Pan nad burzami i morzami jest mi świadkiem, rzekł, że nigdy w życiu mojem nie dążyłem do niczego innego, jak do powiększenia chwały Jego i że nigdy nie byłem zdrajcą mojego króla; niech On nas sądzi!”

Bobidila rozśmiał się szyderczo i rzekł:

„Ja jestem chwilowo panem nad burzami i morzami, ja namiestnik Zachodnich Indyj; więc jestem też i twoim sędzią!”

Kolumb poszedł spokojny i cierpliwy jak baranek do więzienia i znosił bez narzekania najpodlejsze poniżenie. Po długich cierpieniach zaprowadzono go skutego w kajdany na statek i odstawiono do Hiszpanji jako podłego zbrodniarza. Szlachetna królowa starała się pierwsza wynagrodzić Kolumbowi ciężkie krzywdy. Król zwołał wprawdzie Bobidilę, z zajmowanej godności namiestnika Zachodnich Indyj, ale umiał mu osłodzić tę gorzką pigułkę najzupełniej, bo nie zamianował, jak się tego wszyscy spodziewali, Kolumba prawowitym namiestnikiem Nowego Świata, lecz Owandona, człowieka, który Kolumbem pogardzał i to głównie z tego powodu, ponieważ Kolumb nie był rodowitym Hiszpanem! Bobidila przebywał tymczasem nadal w Ameryce i nie spieszył się wcale z powrotem do Hiszpanji; obawy, przed królem nie miał, owszem żywił nadzieję, że kłamstwem siebie uniewinni a Kolumba powtórnie oczernić mu się uda.

Kolumb zastanawiał się głęboko nad tem wszystkim w obecnej chwili, gdy statek jego powolnie, zbliżał się do lądu. Obawiał się nowych knoń i podstępów Owandona i Bobidili.

Milcząc usiadł u steru, złożył ręce i zatopił się w gorącej modlitwie.

Blżej i blżej przysuwał się statek do lądu. Błękitne góry wznosiły się wzdłuż ciemnozielonych wybrzeży; cieniste pasy lasów uwidoczniały się coraz wyraźniej; widać już było pojedyncze drzewa olbrzymich kształtów, kołyszące się nad wybrzeżem. Nagle pokazała się łódka na fałach. Dwaj mężowie w łódce powiewali białą chorągiewką na znak, że chcą być przyjęci na pokład. Wzięto ich na statek. Wtedy wręczyli pismo namiestnika Owandona. Kolumb oderwał pieczęć, przeczytał list i zbladł jak ściana.

„Czy to jest prawda?” zapytał, spoglądając badawczym okiem na wysłańców.

Milcząc posłańcy wskazali na wielką pieczęć, uwieszoną u pisma.

„Niech się dzieje wola Boska!” westchnął sędziwy Kolumb.

Wysłańcy pożegnawszy się, zeszli do łódki i odpłynęli do portu, z którego przybyli. Kolumb rozkazał nawrócić statek na pełne morze.

„Jak to admirałe?” zapytał zdziwiony sternik.

„Rozkazałem statek nawrócić”, odpowiedział Kolumb.

„Czy żartujesz, Krzysztofie?” zapytał z uśmiechem nieustraszony Bartłomiej, brat Kolumba; „czy chcesz wracać do Hiszpanji, nie stanawszy nogą na ziemi Nowego Świata?”

„Patrz i czytaj!” rzekł Kolumb ponuro.

Bartłomiej wziął list i dowiedział się z niego, że Owando, jako namiestnik, zabronił w imieniu króla Kolumbowi wylądować, a na przypadek, gdyby sędziwy bohater wbrew temu zakazowi samowolnie — chciał zawinąć do portu, odgrążał się, że natychmiast statek jego działami ostrzeliwać będzie. Bartłomiej, osłupiał z powodu niesłychanej tej niesprawiedliwości i nie rzekł słowa.

„To Bobidila sprawił”, odezwał się cichym głosem Kolumb; „on żywi śmiertelną nienawiść do mnie i nie przebiera w środkach, aby mnie zniszczyć”.

Odpłynawszy nieco w bok, zarzucili kotwicę; statek zatrzymał się na otwartym morzu. Z pokładu widzieli port, upragniony cel bardzo długiej i strasznej podróży morskiej, widzieli powiewające w powietrzu chorągwie, bandery i żagle hiszpańskich okrętów, lecz zbliżyć się do nich nie mogli.

Niedługo potem rozległ się huk wysirzałów armatnich i flota, składająca się z sześciu statków wypłynęła dumnie i okazała z portu.

„Co to znaczy?” zapytał Bartłomiej; czy nas chcą wziąć w niewolę?

„Mylisz się”, odpowiedział Kolumb, „gdyby to zamierzali, byłiby nas wpuścili do portu”.

Flota się szybko zbliżała; z największego statku powiewała bandera admirałska. Statki podjechały już tak, że było można rozpoznać już ludzi na pokładzie a niedługo potem przepływały olbrzymie łodzie tuż obok statku Kolumba. Był to Bobidila z swoimi towarzyszami; wracali do Hiszpanji. Stojąc w szeregach na pokładzie, żegnali szyderczo Kolumba.

„Witaj, szlachetny bohaterze, w Nowym Świecie!” zawołał jeden z majtków.

„Wyląduj w twoim kraju, namiestniku króla, — zdrajco!” krzyczał sam Bobidila.

Rozległ się śmiech; szydercy trzęśli się z radości nad nieszczęściem sędziwego bohatera, pijani majtkowie tańczyli na pokładzie, śpiewali, krzyczeli i wyli. Prawie wszyscy byli już ciężko karani za zbrodnie.

Ludzie Kolumba chcieli się odplacić pięknem za nadobne, lecz Kolumb im tego ostro zakazał.

„Ażali Dawid nie milczał gdy go Semei lżył, iż nie miał w własnej stolicy przytułku?” rzekł z godnością i spokojem sędziwy bohater.

„Te słowa rozwieje wiatr i one zginą jak bałwany na morzu; ale jest Jeden, Który sędzi; a On rzekł...”

„Szczęśliwej podróży, zdrajco, a szczęśliwszego wylądowania, nabożny święty!” zakrzyknął po raz drugi Bobidila.

„A On rzekł”, ciągnął Kolumb dalej: „Do mnie należy zemsta!” „Jemu jedynie ufam i w Jego ręce oddaję moją sprawę”.

Potem się odwrócił spokojnie i rozkazał sternikowi, aby skierował statek bardziej na północ, gdyż powstający wiatr był dogodny.

„Szczęśliwej podróży, szczęśliwego wylądowania!” odezwał się jeszcze raz szyderczy głos z okrętu Bobidili, który płynął na zachód i powoli w oddali zniknął.

„Cóż nam wypada czynić?” zapytał Bartłomiej; „ludzie domagają się wylądowania i żądają słusznie wypoczynku”.

„Pojedziemy dalej wzdłuż wybrzeża, odpowiedział Kolumb; „niema wątpliwości, iż nawet znajdziemy inny port, do którego się schronimy, a Bóg wszystko na dobre przemieni; być może, iż odkryjemy „Kraj złota”, o którym Indjanie opowiadali”.

Na to się majtkowie zgodzili, bo wierzyli niezlomnie słowom Kolumba.

Statek posuwał się naprzód, prędzej i prędzej, prując wody niezmiernej przestrzeni morskiej i płynął stale na północny wschód, zawsze w kilkumilowym oddaleniu od stałego lądu.

„Byłoby dobrze, gdybyśmy dobili do lądu, bo się zanoszą burze”, rzekł Bartłomiej, wchodząc do kajuty Kolumba.

Kolumb natychmiast pospieszył na pokład.

Domniemanie Bartłomieja, nie było bezpodstawne. Już od kilku godzin gromadziły się na widnokręgu ponure i groźne chmury. Stawało się coraz ciśniejsze i ciszej; powietrze było duszne i parne. Stroskany Bartłomiej zwrócił się do Kolumba i rzekł: „Za godzinę nadejdzie burza!”

Sędziwy bohater spoglądał z niezmierną boleścią na stary, słaby statek i na swoich ludzi, którzy zmęczeniu, odpoczywali na pokładzie.

„Bobidila znajduje się na pełnym morzu”, rzekł z cicha, „może Owandoni będzie miłosierniejszym od niego i pozwoli nam do portu zawinąć, aby nas od rozbicia ocalić”.

I kazał nawrócić do portu. Lecz gdy tam zmieniony kierunek statku spostrzeżono, wywieszono natychmiast chorągiew i zaczęto ostrzeliwać statek Kolumba.

„Panie morza i burzy”, zawołał Kolumb i podnosząc ręce ku niebu, padł na kolana i błagał: „Wszelką nadzieję pokładamy w Tobie; bądź Ty naszym puklerzem, naszą obroną, ratuj nas, Panie, nie opuszczaj nas!”

„Nie zginiemy”, odezwał się potem sędziwy bohater do swoich ludzi z niewzruszoną ufnością i spokojem; kierujcie statek na północny wschód, im dalej od wybrzeża, tem lepiej; tam het! na pełne morze; spieszcie się, bo każda chwila droga!”

Majtkowie wykonali rozkaz. Powstający wiatr, dał całą siłę w żagle i parł statek na otwarte morze. Nie mogli już dojrzeć lądu; na około nich, jak daleko oko sięgnąć mogło, rozpościerały się fale morskie, ponad nimi pętrzyły się złowrogie chmury. Wiatr wzbierał w siłę.

„Wszystkie żagle ściągnać!” zakomenderował Bartłomiej.

„Liny podwójcie i trzymajcie się zdala od głównego masztu, gdy się błysnąć rozpocznie!” rozkazał Kolumb, który teraz swoją siłę i energię odzyskał.

Niebo zaćmiło się nagle na południu - zachodzie i ciemność ta rozszerzyła się z wielką szybkością. Ciszsza grobowa zapanowała. Nadeszła burza. Morze przemieniło się w pół minuty w zamęt pieniących się bałwanów, które z straszliwą szybkością pętrzyły się wysoko jak wieża i równie prędko spadały, sycząc jak ogniste węże. Wśród ciemności rozlegał się zgiełk, syk, wycie, trzask, huk, łoskot nie do opisania. Morze rzuciło bezbronnym statkiem jak orzechową łupinę.

„Boże co widzę!” zawołał nagle przerażony Kolumb, tuląc śmiertelnie bladego syna swego Ferdynanda do siebie w chwili, gdy cały snop błyskawicy upadł przed statkiem w morze, tworząc w bałwanach niezmierną przepaść. Był to tak zwany huragan wirrowy, dotąd Kolumbowi nieznan. Po sto i więcej błyskawic uderzało równocześnie w maszty, góry bałwanów zalewały pokład, tak, że wszyscy myśleli, iż utoną niechybnie w głębokości oceanu. Lecz statek, się podnosił i pędził łotem błyskawicy na rozhukanych falach.

„Długo już nie potrwa, westchnął Kolumb. „Panie Twoja wola niech się stanie!”

Dziesięć zwyczajnych acz ciężkich szturmów razem wzięwszy nie szaleje tak wściekle jak ten huragan podzwrotnikowy, zwykle cyklonem zwany.

Kolumb nie stracił ani na chwilę odwagi i przytomności. Dusza jego była wolna od winy i ciężkiego grzechu; sumienie miał czyste, bo wszystko, co w życiu był przedsięwziął, chciał przeprowadzić na większą chwałę boską; więc poddał się woli bożej i modlił się rzewnie.

„Hej — ho, statek!” zawołał nagle Bartłomiej — wielkim głosem. W tem samem okamgnieniu rozległ się straszny grom; błyskawica oświeciła niebo i morze stało się jasne jak w słoneczny dzień. W oddaleniu tysiąca stóp pięć statków staczało straszną walkę z morzem. Kolumb rozpoznał wszystkie; były to statki Bobidili. Trzask, huk i łoskot rozległ się po niezmiernym przestrzeni, morze rozstąpiło się, tworząc olbrzymią przepaść.

„Boże, bądź miłościw mnie grzeszemu!” modlił się Kolumb i zapewne każdy z jego ludzi. Widzieli śmierć przed oczami.

Drugi straszniejszy grom nastąpił; jaskrawsza jeszcze błyskawica zaświeciła, zdawało się, że morze i niebo płoną niezmiernym pożarem! Kolumb zadrżał. Pięć statków, które w poprzednim okamgnieniu był widział, znikły bez śladu; Bobidila zginął z towarzyszami w przepaści morskiej.

Tak zginął człowiek, który krótko przed tem powiedział: „Ja jestem obecnie panem morza!”

Szturm zwalniał, wieczór zapadał. Kolumb trząsł długo na miejscu nieszczęścia, chcąc nieść pomoc rozbitek, lecz daremnie.

Belki, deski i różne inne przedmioty kołysały się na spokojnym już morzu, z ludzi nie było śladu. Wszyscy spoczywali w głębokości morskiej.

„Bóg osądził”, rzekł Kolumb pełen godności i powagi do swoich ludzi: „On nas ocalił w tej naszej orzechowej łupinie, a mocny, wielki i bogaty statek admirałski zdruzgotał; On nas dalej poprowadzi”.

Zmienili kierunek na zachód i tym sposobem Kolumb stanął po raz pierwszy na właściwym lądzie Nowego Świata, gdyż dotąd był odkrył tylko wyspy.

Tak Pan Bóg zrządził, iż pokorny Kolumb doszedł do nowych zaszczytów i nowej sławy; dumnego i zrozumiałego Bobidilę za to stracił w przepaść i osądził na wieczną zgubę.

Krótko potem odkrył Waragwę, „kraj złota”.

Gdyby Kolumb był znalazł przytułek w porcie — św. Dominika, byłby zginął niechybnie, bo huragan rzucił prawie wszystkie statki, znajdujące się w porcie, na wybrzeże i rozbił o skały; w mieście samem zginęło dużo ludzi.

„Przypominasz sobie jeszcze uragające słowa Bobidili: „Szczęśliwej podróży, szczęśliwego wylądowania?” zapytał starszy majtek Kolumba swego towarzysza, leżącego wygodnie w słońcu na wybrzeżu „Kraju złota”.

„Tak, ale spamiętałem odpowiedź naszego admirała, który rzekł:

„Do mnie zemsta należy, mówi Pan!”

„Słowa te sprawdziły się strasznie. Bobidila i towarzysze jego spoczywają na dnie morza, a my odkryliśmy „Kraj złota”.

„Nie przechwalajmy się”, odezwał się Kolumb: „Bogu jedynie niech będzie chwała, Panu burzy i morza!”

Ze świata katolickiego.

Niezwykłe uleczenie w Częstochowie.

Czesława Kozłowska, lat 14, zamieszkała w Trokach, par. Naruszewo, diec. Płockiej, miała od lat dziecięcych — jak stwierdza lekarz dr. Dzisiław Sokółski w znacznym stopniu przytępiony słuch, spowodowany nieżytem bębenków Eustachjusza. Na Zielone Świątki r. b. wybrała się mała Czesia wraz z matką do Częstochowy i tam, po żarliwej modlitwie, odzyskała — jak znów stwierdza dr. Sokółski — zupełnie dobrą i normalną zdolność słyszenia.